



## Zofia Wrzosek

Sygnatura notacji: N1009

Data urodzenia: 24.12.1934 r.

Data nagrania: 25.11.2008 r.

Miejsce nagrania: dom świadka, Warszawa, Polska

Prowadząca/y rozmowę: Michał Kurkiewicz

Czas nagrania: 63 min

Format nagrania: video

Język nagrania: polski



## TRANSKRYPCJA



INSTYTUT  
PAMIĘCI  
NARODOWEJ

[00:00:00 POCZĄTEK NAGRANIA]

**Zofia Wrzosek:** Nazywam się Zofia Wrzosek. To jest moje małżeńskie nazwisko, natomiast rodzinne Lizut. Zofia Lizut. Urodziłam się 24 grudnia w samą wigilię, 1934 roku w Dzierżni. Jest to wieś położona na Roztoczu Lubelskim. Tak raczej w środkowej części Roztocza. Między Zamościem, a Tomaszowem, bliżej Tomaszowa. I w zasadzie przy głównym, może nie bezpośrednio, ale przy głównej trasie Zamość-Tomaszów, bo najpierw jest Huta, i Budy, i Huta – wieś, a później jest Dzierżnia. I te trzy wsie są w tej samej linii, w tym samym, powiedzmy ciągu. Cóż chciałam jeszcze powiedzieć? Cieszę się, że mogę wystąpić tutaj i powiedzieć o swoich wspomnieniach z okresu wojny, i są to przykre bardzo wspomnienia, tragiczne, bo straciłam rodziców w czasie wojny. I ciężko jest mi o tym wszystkim mówić. Może jeszcze powiem, co do jeszcze miejsca zamieszkania, to powiedziałam, jest to gmina Krynice, powiat Tomaszów Lubelski. W dalszym ciągu w tym samym miejscu moja rodzina mieszka. Moje przyrodnie siostry. Powiem może kilka zdań o mojej rodzinie, dlatego, że ona będzie brała cały czas czynny udział w dalszej mojej wypowiedzi. Więc moi rodzice byli rolnikami. Tata miał na imię Stanisław, mama Franciszka. Tata był urodzony w 1896 roku, mama w 1910 roku, była sporo młodsza. Mój tata ożenił się po raz drugi, ponieważ zmarła mu żona i zostawiła trójkę dzieci. Były to dziewczynki. Kiedy zmarła jego żona, najstarsza miała osiem lat. I te dwie pozostałe młodsze były. Moja mama była kobietą o wielkim sercu. Wychowywała te dzieci jak swoje rodzone. Oczywiście ojciec ożenił się, tu chaotycznie zaczynam mówić, ożenił się po raz drugi. I to dosyć wcześnie, ze względu na gospodarstwo, ze względu na dzieci. Mama moja traktowała nas wszystkie jednakowo. Była kobietą o wspaniałym sercu. O dobroci, o pracowitości. Zastąpiła tym dziewczętom matkę. Często stawiała w obronie starszych dzieci niż my. Uważała, że one więcej potrzebują już z racji wieku. Cóż jeszcze chciałam powiedzieć? Mój tata w moich oczach i to w oczach rodziny był człowiekiem mądrym, jak na warunki wiejskie i tego okresu. Dużo czytał książek, był w ogóle silną osobowością. Jako młody chłopak, nie wiem,

czy wszystko powiedziałam, ale to wszystko jest... wstąpił do wojska w I wojnie światowej i wstąpił do POW-iaków. Do Ochotniczego Wojska i odznaczył się tam bohaterstwem, bo po wojnie, osobiście przez Józefa Piłsudskiego, był odznaczony medalem. Ten medal jeszcze był po wojnie. Widziałam go, ale jako dziecko nie rozumiałam do końca, jaki to jest rodzaj. Domyślałam się, że za bohaterstwo, za odwagę. Tak że po odbiór tego medalu mój tata przyjeżdżał do Warszawy. I cała rodzina wspominała to, pamiętam. Cóż jeszcze, chyba zacznę już od... jeszcze następna, od innej sprawy, jeszcze następna sprawa zmotywowała mnie, żeby tu wystąpić przed państwem, ponieważ w tym roku w mojej rodzinnej wsi była uroczystość obchodzona 65. rocznica pacyfikacji wsi. Te obchody zorganizowali weterani Batalionów Chłopskich. Z Koła, które istnieje w gminie Krynice, a Koło całe, czyli ta centrala jest w Zamościu. I właśnie dla uczczenia tego dnia, uczczenia poległych, [aby] oddać im honor, oddać im pamięć, była bardzo piękna uroczystość i w kościele, i przed kościołem. I została wmurowana tablica pamiątkowa z listą pomordowanych w czasie okupacji niemieckiej. Jest tu 60 osób, którzy zginęli w czasie pacyfikacji, a tu jeszcze 13 osób, które zginęły w innym czasie. Byli to pewnie i partyzanci, i aresztowani. Zresztą tu pisze wszystko. Jest ten... Tak że będąc latem u moich sióstr dowiedziałam się o tym i też bardzo to przeżyłam, i cieszę się, że taka pamiątka została. Na tej liście są i moi rodzice. Są to nazwiska, proszę bardzo: Lizut Paweł to jest stryj, mój tata Lizut Stanisław, lat 47, Lizut Franciszka, lat 33 i Lizut Danuta, ona miała 11 lat. Tu mała jest pomyłka. Pacyfikacja wsi była 27 stycznia. Słucham?

**Michał Kurkiewicz:** Jeśli można, czy pamięta pani jakoś początek okupacji.

**Zofia Wrzosek:** Tak. Pamiętam.

**Michał Kurkiewicz:** Jak pojawili się Niemcy i jak to było?

**Zofia Wrzosek:** Zanim ta pacyfikacja nastąpiła.

**Michał Kurkiewicz:** Tak, zanim pani powie...

**Zofia Wrzosek:** Dobrze. To pamiętam pewne obrazy z 1942 roku. Pamiętam też jak była walka w 1939 roku. Bardzo to wywarło na mnie wrażenie, kiedy wojsko polskie właśnie na tej wsi walczyło z Niemcami. To był wrzesień. To były te pierwsze walki, które były na tym terenie. Pamiętam, wtedy rodzice... całą rodziną poszliśmy do stodoły, bo kule świsnęły z każdej strony. I to taki tylko obraz pamiętam. Było sporo rannych polskich żołnierzy. Byli też i zabici Niemcy. Jest na cmentarzu miejsce, gdzie są pochowani żołnierze września. Tak że to są takie pamiątkowe miejsca. I o te miejsca dba i wieś, i szkoła miejscowa. Natomiast pamiętam obrazy z 1942 roku. Był to okres już bardzo niespokojny w tamtych okolicach. Ciągłe były różne ataki ze strony Niemców. Były aresztowania, były rozstrzelania, były różnego rodzaju akcje, które ten niepokój coraz bardziej powiększały. Były walki z partyzantami, to były tam Bataliony Chłopskie. I z tej wsi i z sąsiednich wsi dużo młodzieży było właśnie w tych Batalionach Chłopskich. To byli wszyscy młodzi. Mój tata nie był partyzantem, bo już był i starszy, i miał rodzinę. Pamiętam takie obrazy z 1942 roku, jak uciekaliśmy nie raz do lasu, bo dochodziły wiadomości, że będzie bombardowanie, że będzie pacyfikacja, że będą inne jakieś akcje ze strony Niemców na ludności wsi. Uciekaliśmy do lasów najczęściej. Często spaliliśmy już w ubraniach. Pamiętam, w butach nawet. Bo pewnego dnia, to był już chyba listopad, to uciekaliśmy w nocy do lasu. Rano oczywiście wracaliśmy. Był

to bardzo niespokojny czas. Bardzo niespokojny. Ja jako dziecko miałam niesamowity lęk przed Niemcami. Przed świętami Bożego Narodzenia też były walki między partyzantami a Niemcami. Dokładnie nie wiem, o co chodzi, ale z tego, co mówiono mi, bo tego nie pamiętam, że dwóch mieszkańców, mężczyzn, Niemcy przyjechali i zabili. Później w krótkim czasie Niemcy przyjechali, to już dobrze pamiętam, przyjechali do sołtysa po kontygent. I przyjechało chyba trzech Niemców i grupa partyzantów chyba miejscowych zaatakowała tych Niemców na podwórzu sołtysa. Jako powiedzmy pomszczenie tych dwóch, którzy dostali odwet, którzy zostali rozstrzelani. Tragicznie to się skończyło i to bardzo, pamiętam, bo nasz dom od sołtysa leżał około 150 metrów. Kule świstały, wydawało się, że tuż przed naszym domem, niepokój był wielki, strach padł na rodziców. Nas mama schowała pod pierzynę, bo wydawało się, że te kule będą przez nasz drewniany dom przechodziły. Więc w czasie tej walki zginęło trzech chyba partyzantów, zginęli dwaj żołnierze niemieccy, a jeden uciekł. I ten, który uciekł, wezwał posiłki. Wezwał posiłki. W tym czasie, w tej przerwie między walką a przyjazdem posiłków niemieckich, mój tata zdążył z rodziną uciec. Zaprzęgnął szybko konia i polnymi drogami odjechaliśmy na Zaboreczne do cici. W tym czasie, kiedy już Niemcy przyjechali, duża ilość Niemców, obstawili całą wieś i od domu do domu mordowali tych wszystkich, którzy nie zdążyli uciec lub schować się. Wśród... Słucham?

**Michał Kurkiewicz:** To było kiedy?

**Zofia Wrzosek:** To było w czasie pacyfikacji. Właśnie zapomniałam powiedzieć o najważniejszej rzeczy, 27 stycznia 1943 roku. Tak że my ocaleliśmy z tego pierwszego dnia pacyfikacji, wyjeżdżając do cici. Natomiast wieś była cała spacyfikowana. Zginęło wtedy 57 osób. Począwszy od starszych ludzi, skończywszy na bardzo małych dzieciach leżących w kołysce. Bo na tej liście to nawet podane są nazwiska tych dzieci, dwa latka, dwa latka, dwa latka. Rozpiętość wiekowa była różna. Dużo młodych ludzi też zginęło. Wieś opustoszała. Ludności nie wolno było wracać do wsi przez trzy tygodnie. Wieś była pusta. Tylko niektórzy się ukrywali, ponieważ pilnowali zwierząt, które były w gospodarstwach, ale Niemcy każdego dnia albo prawie każdego dnia nadzorowali wieś. A w każdą środę, przez trzy tygodnie, przyjeżdżało więcej Niemców i nadzorowali nie tylko wieś, bo to w środę właśnie była ta pacyfikacja, więc później ustalony był dzień, że środa, przyjeżdżali i bardzo dokładnie lustrowali wieś, a także okolice. A także okolice. Ale myśmy w tym czasie byli chwilowo bezpieczni, bo dojechaliśmy do cici. Ale 29 stycznia 1943 roku, czyli dwa dni później, odbyła się pacyfikacja Huty i Budów, właśnie wspominałam te wsie, bo one były w takim jednym ciągu. Zaczynała się wieś Budy od szlaku komunikacyjnego Zamość-Tomaszów. I to było strasznie tragiczne. Nie wiem, nie moja rola oceniać akcji partyzantów, ale te akcje pociągały niesamowite [straty pośród] ilości ludzi. Też do tej wsi Huta Budy, bo to jedna wieś, tylko dwie nazwy, połączone są, przyjechali Niemcy za prowiantem. I jako odwet partyzanci znowu zaatakowali tych Niemców. Też iluś tam Niemców zginęło. Nie wiem o partyzantach, ale wezwali znowu, jakiś uciekł, wezwał posiłki i spacyfikowali całą wieś, Huta i Budy. Zginęło 86 osób. Jest pomnik postawiony, taki symboliczny między jedną a drugą wsią, upamiętniający właśnie ten mord, bo to inaczej nie można nazwać. I też od domu do domu szli i mordowali, kogo zastali. W tej wsi Huta mieszkała moja siostra, która wyszła za mąż trzy miesiące wcześniej, z mężem i z rodziną męża. Moja siostra i mąż uciekli. Matka, siostra, troje dzieci i kuzynka nie chciały jakoś początkowo uciekać, ale zdecydowały się na ucieczkę w ostatniej chwili, kiedy cała wieś była obstawiona, pobiegły za stodołę, a za stodołę był kopiec z ziemniakami duży i taki rów dookoła wykopany tego kopca, żeby woda spływała. I tę uciekającą rodzinę zobaczyła sąsiadka i zaczęła biec w ich kierunku. I w tym mo-

mencie Niemiec zobaczył i oczywiście, nie wiem, czy jeden, czy kilku, poszli tam, gdzie ona biegła, a okazuje się, że tam cała rodzina była, siedem osób zginęło. Matka, córka w ciąży, trójka dzieci małych poniżej ośmiu lat, ta kuzynka, dziewczynka 11-letnia i sąsiadka. Wszyscy w kuckach klęczeli. Za tym kopcem, ze złożonymi rękoma do modlitwy i w takiej pozycji rodzina zastała ich, kiedy już Niemcy wyjechali. I ten drugi cios, i ten cios uderzył również w nas, czyli nie tylko naszą, moją rodzinę najbliższą, ale i dalszą. Niemniej to nasza rodzina była. No, ale jeszcze nie koniec tego. Bo byliśmy w tym czasie na Zaborecznym. 2 lutego... 1 lutego, przepraszam, na Zaborecznym była bitwa między partyzantami a Niemcami. Myśmy mieszkali od lasu z pół kilometra, u cioci. Kiedy wieść nadeszła, że Niemcy zbliżają się, są w Antoniówce, we wcześniejszej wiosce do Zaborecznego, tata znowu szybko konia zaprzęgił i uciekamy. I uciekamy oczywiście do lasu. W lesie było bardzo dużo partyzantów. Dojechaliśmy do lasu, ale zaczęła się też i bitwa już. To był straszny, pamiętam ten okres, jak mama pod pierzynę nas schowała, tata pochylał się nisko, bo z tego lasu trzeba było uciekać. Ten las był duży. Nie akurat w tym miejscu, ale już dochodziły strzały, już walka się rozpoczęła, zaczęliśmy uciekać w innym kierunku. I byli razem te wszystkie przyrodnie trzy siostry i mąż. W pewnym momencie tata zdecydował, że one muszą odejść i uciekać, chronić się na własną rękę, bo jeżeli mielibyśmy zginąć, to nie wszyscy. I one poszły, już oddzieliły się od nas. Tata cały czas powoził koniem, pochylony nisko nad koniem, w różne kierunki żeśmy jechali do różnych wiosek, a z tych wiosek ludzie jechali w kierunku lasu, więc to był po prostu młyn. Straszna rzecz. Kule świsnęły. Po kilku godzinach bitwa przestała [się skończyła]. Przestali walczyć. Niemcy wycofali się. Strat z partyzantów niewiele było, kilku podobno tylko zginęło, było sporo rannych. W tej chwili... byłem dwa lata temu, w tym miejscu jest pomnik postawiony ku pamięci właśnie tej bitwy i nawet rozpoznałam dom, w pobliżu był na brzegu lasu, w którym żeśmy nocowali po bitwie, bo było gdzieś, już była noc i u tego gospodarza właśnie w stodole byli znoszeni partyzanci, ranni ludzie, natomiast my w mieszkaniu żeśmy nocowali, ale w tym mieszkaniu była rozłożona słoma i ludzie jedni przy drugich nocowali. I myśmy też tam przenocowali do rana. Rano wróciliśmy do cioci. Wróciliśmy do cioci i postanowiliśmy tam zostać, bo wioska nasza, Dzierżnia spacyfikowana, nie ma powrotu. Postanowiliśmy tam przeczekać jeszcze, ale dom cioci był gościnny, ale w nim było z 15, może więcej osób. A to była jedna izba: kuchnia, jadalnia i sypialnia razem. Ich rodzina sześć osób liczyła. Myśmy byli, nas było sześcioro i siostry jeszcze trzy ze szwagrem, to łącznie dziesięcioro i jeszcze inna rodzina. Tak że po prostu było ciasno, dokuczał nam brud, jedzenie było, bo były krowy, był chleb, to już było jedzenie. Natomiast brud, był to luty, było zimno, studnia była daleko od gospodarstwa. Taka wspólna z innymi gospodarstwami. Wszawica w ubraniach i w głowie. Jak to się nazywało, taka choroba, miałam gdzieś ją tu zapisaną i chyba muszę przeczytać. Świerzb. Po prostu dłużej już nie można w tych warunkach było żyć. I tata pewnego dnia... Moi rodzice postanowili wrócić, bo po prostu już nie wytrzymywali. To było ponad ich możliwości psychiczne i nerwowe. I postanowiliśmy wrócić nie do wsi, bo wieś była w dalszym ciągu spacyfikowana. Tak jak mówiłam, nadzorowana przez Niemców. Kogo spotkali, tego zabijali, ale rodzice mieli zaprzyjaźnioną rodzinę na kolonii, obok wsi. Bardzo pięknie położona ta kolonia na wzgórzu i ta kolonia nawet jak... Bo wieś była w takiej dolinie między dwoma pasmami gór. Od północy i od południa. I jak było się na terenie wsi, to niewiele widać było tę kolonię. I tata zdecydował, że pojedziemy tam. Nie wiem, czy wiedział, że jeszcze w dalszym ciągu jest ten okres, bo jednak nie było tej komunikacji takiej między ludźmi w tamtych czasach, bo i odległość była 10 kilometrów. W każdym bądź razie przyjechaliśmy do przyjaciół moich rodziców późną nocą, 15 lutego lub 16 lutego. Dowiedziały się o tym moje siostry, które były w sąsiedniej wsi Huta, bo tam nie była tak długo spacyfikowana wieś, tylko ten jeden dzień chyba, kiedy tyle osób zabili, a ludzie mogli wracać do wsi, pozostali ludzie. I wieczorem wszystkie trzy siostry plus mąż siostry odwiedzili nas u tej babci, bo ja tak nazywałam,

to przybrana babcia była, tak nazywaliśmy, na tej kolonii, i nocowały. Ale rano mój tata obudził się bardzo wcześnie, iks razy to słyszałam na przestrzeni tych 65 lat, że tata wcześniej obudził mnie i powiedział: „Musicie uciekać stąd, coś się tu będzie działo. Śniło mi się trzy wielkie doły wykopałem. Coś się tu będzie działo”. I one o 6:00 musiały wyjść i wróciły na Hutę, tam, skąd przyszły. Jakieś przecucie tata miał. Ale ranek, pogodny dzień, taki jak dzisiaj tu w Warszawie. Wszystko wydawało się, że będzie cicho i spokojnie. Sąsiedzi z tej kolonii, dwaj panowie przyszli do taty i rozmawiali sobie. My dzieci, trójka dzieci, 11-letnia siostra, ja 8 lat, siostra 5 lat, kręciliśmy się po mieszkaniu. I w pewnym momencie, mało tego gotowane było jakieś jedzenie na kuchni, mama rozczyniła chleb w dzieży, bo nie było tego chleba i wносиła pościel na płot, bo był mróz. Nie wiem jaki, ale był mróz. Na płot ogrodu. A ja za mamą poszłam i byłam ubrana, w palcie, coś na głowie miałam, jakąś chusteczkę, bo wtedy tak się chodziło. I w pewnym momencie, po drugiej stronie ten pas górski, co mówiłam, od południa szli Niemcy w dużej grupie. Taka tyraliera była. Ja do dziś widzę to pole, którędy oni szli. Mama krzyknęła: „Niemcy!”. Wpadła do domu, poruszenie straszne, ci dwaj panowie szybko się ubrali i wybiegli, znali tamten teren, chociaż wszystko było jak na dłoni, bo śnieg, drzewa gołe. Uciekli. Uciekła też... Uciekli... No, w tej chwili, przepraszam, syn z żoną tej babci. Było to młode małżeństwo. Ta babcia też jeszcze nie była babcią, ale w moich oczach już była babcią i tak zwracaliśmy się. Pewnie miała z pięćdziesiąt parę lat. Syn też uciekł i zdążył uciec. Została babcia, zostali moi rodzice i my wszystkie trzy. Ojciec był tak zdenerwowany, mój tata, tak wszystkim mówiła ta babcia, bo ona przeżyła razem z nami. Szybko chował jakieś dokumenty i nie chciał uciekać. Nie wiem, może nie widział możliwości ucieczki z trojgiem dzieci, ze starszą kobietą i kiedy teren jest odkryty i daleko widać. I w momencie kiedy Niemcy byli na tym drugim wzgórzu i musieli przejść przez pasmo, przez teren łąki i wejść pod tę górkę, to odległość była rzędu 600 metrów. Tak że teoretycznie niby można było uciec, ale było 5-letnie dziecko. I my trochę większe. Niemniej tata może myślał... to takie moje, bo nie chciał uciekać. Podobno był tak zdenerwowany, że sparaliżowany tym strachem, co może się stać. A może miał nadzieję, że nas nie widzą, że nie przyjdą, że pójdą tylko na wieś. Mama błagała ojca, tatę, żeby schował się, tata nie chciał. W pewnym momencie i babcia zdecydowały się, że babcia wejdzie z nami na strych. Był to dom z okresu pańszczyzny. Pięknie położony, ciekawy dom. Ale to był niski dom, drewniany, strzechą pokryty. Powąta drewniana z takich grubych desek czy bali. Szpary i często coś się mogło sypać. Nie wiem akurat czy w tym domu. Jak ktoś chodził, to każdy krok było słychać. I babcia usiadła właśnie z nami na tym sianie, cienka warstwa siana była, nad tym pokojem, tą izbą, nazwijmy, gdzie się mieszkało. Ale mama nie miała już nadziei, że uprosi ojca, żeby schował się gdzieś, skrył się, bo nie czas było już na ucieczkę. I weszła na drabinę, i powiedziała: „Danusiu...”, czyli starsza siostra, „Zejdź, może ty uprosisz ojca”, do dziś dnia to pamiętam. Danusia zeszła, ale już nie zdążyła wejść. Kiedy słychać było kroki Niemców i głosy, babcia przytomnie wciągnęła drabinę za sobą, ale to był tak niski dom, że gdyby można było stanąć na taborecie i już można by zobaczyć, co się tam... przynajmniej część zlustrować tego strychu. Za chwilę Niemcy przyszli. Głos Niemców. Do dziś dnia słyszę ten ostry język niemiecki. Po chwili [słyszę] rozmowę, głos taty, który mówi do Niemców coś. Płacz mamy słyszymy. I to wszystko w sieni się dzieje. Już nie w pokoju, tylko wszystko w sieni. Sień, wiedzą panowie, co to jest. Taki przedpokój dawny. Bo z jednej strony była izba mieszkalna, sień, a po drugiej stronie komora, czyli spiżarnia, nazwijmy. Płacz matki do tej pory słyszę. Natomiast po chwili ucichło, wyprowadzili rodziców. Rozstawili w pewnych odległościach. Tatę najdalej, z 50 metrów dalej, ale to chyba dlatego, że bronił mamy i córki, bo na pewno biernie się nie poddawał. Dlatego, że był dalej odprowadzony i zakatowany. Miał głowę powgniataną. Przepraszam, ale ja... Miał głowę powgniataną. Cały brzuch bagnetami pokłuty. Pewnie kula też go dosięgła, ale babcia mówiła, że długo jęczał jeszcze. Ale jak wyszli rodzice, wyszli, wyprowadzili ich

do zastrzelenia, to już nie słyszeliśmy głosu ani mamy, ani taty, żadnego. Tak myślę, że może dlatego, żebyśmy my nie słyszały. Bo pewnie mama wiedziała, że zareagujemy płaczem. Było pięć strzałów. Ja liczyłam wtedy. Babcia do ucha do mnie powiedziała: „Cicho, mama uciekła. Mama żyje”. Pewnie po to, żebyśmy nie płakały. Ale na tym muszę powiedzieć, że moja pamięć jest zakończona co do śmierci rodziców, dlatego, że myśmy usnęły. Widocznie był tak silny stres i wstrząs, ja mówię Pan Bóg zesłał może na nas, obronił nas, osłonił nas. Bo myśmy spały, długo żeśmy spały. Babcia modliła się cały czas na różańcu, ale Niemcy wrócili do domu. Było ciepło w domu, było jedzenie. Wybili okno, stół był przed oknem, a za oknem zabici moi rodzice. Na stole rozstawili jedzenie i jedli. Długo siedzieli, ale nie wiem, jak długo. Może to było pół godziny, może dłużej. A w ogóle to miało czasowo miejsce gdzieś tak między 11:00 a 12:00, ta pacyfikacja powiedzmy tych Niemców, jak oni szli, to gdzieś między 11:00 a 12:00. Ale niedługo przyszli do miejsca zamieszkania rodziców. Więc mniej więcej w tym czasie byli rodzice rozstrzelani. Oni siedzieli i jedli. I niepojęte jest to dla mnie. Przedtem przechodziłam do porządku dziennego, siedziałyśmy. Ale jak to możliwe było, myśląc po ludzku, że 5-letnie dziecko nie zapłakało, że ja nie płakałam, że nie kichnęłyśmy, że nie zakaszlałyśmy, że nie poruszyłyśmy nogą, bo przecież siedziałyśmy vis a vis. Usnęłyśmy i też nie dostałyśmy żadnego znaku, że tam jesteśmy. Niemcy wyszli, ale babcia jeszcze nie schodziła, a myśmy spały. Dopiero jak usłyszała głos, mowę polską, bo i rodzice... i siostry były szybko zawiadomione, bo tam wszyscy się znają, gdzie one są, gdzie one tam mogły być. Więc i siostry z mężem, ze szwagrem przybiegły i sąsiedzi ci, którzy się ukrywali i dopiero babcia, i ten moment pamiętam, jak babcia budzi nas: „Wstańcie, chodźcie”. Słyszę mowę polską i zesłaliśmy wtedy. Był jeszcze dzień. Może to było po pierwszej, może to było koło drugiej. Tragedia wielka. Płacz, nie mogę tego opisywać, bo to sobie można wyobrazić, co się działo, kiedy widzieliśmy rozstrzelanych rodziców. Moja siostra, ta przyrodnia, najmłodsza, ona miała 18 lat. Wzięła mnie za rękę i kolejno podeszła do mnie, ze mną, do mamy, pokazała mi, do siostry i do taty. I dlatego tak mocno pamiętam każdą z tych postaci a szczególnie tatę, bo to był widok straszny. Pod wieczór zaprzęgnął szwagier konia i wóz, w którym przyjechaliśmy. I trzeba było ciała zawieźć na cmentarz. Owinęte zostały prześcieradłami lnianymi, jakimiś kocami i szwagier wyprowadził konia już zaprzęgniętego do wozu i ten koń dęba stawał. Nie wiem, czy mój tata wiedział, że przez trzy tygodnie była spacyfikowana wieś i nie wolno było wracać. I tata, rodzice zginęli na kilka dni przed końcem, bo była środa. Tą ostatnią środą, którą sprawdzali Niemcy, a chyba od przyszłego tygodnia już mogli ludzie wracać do wsi. Było to takie zarządzanie niemieckie, więc to było takie ukaranie dodatkowo wsi za zastrzelenie tych Niemców. Teraz odpowiem na pytanie. Więc mówiłam na początku o siostrach. Dlatego, że muszę o nich powiedzieć i o tym, że moja matka była taka dobra. Była bardzo zwarta rodzina. Siostry, chyba też mówiłam, już były dorosłe w momencie, kiedy rodzice zginęli. I dzięki temu, że ta nasza rodzina była zwarta, kochająca się i nie było różnicy dzieci z pierwszego małżeństwa, dzieci moje. Byliśmy my. Po prostu byliśmy my. I w momencie, kiedy rodzice zginęli, wszystkie trzy siostry opiekowały się właśnie nami. One zastąpiły nam rodziców. Z tym, że do domu żeśmy rodzinnego nie wróciły, dlatego, że na wiosnę, bliżej wiosny to miało miejsce, była z kolei wysiedlona wieś. Bo wtedy Polacy, mieszkańcy mogli wracać, więc to był pewien okres, odstęp czasu, może to był kwiecień, kiedy było wysiedlenie, a wkrótce po wysiedleniu do wioski sprowadzali tak zwanych czarnych i nasz dom był zamieszkały przez taką rodzinę niemiecką, powiedzmy. Myśmy ich nazywali „Czarni”. I do domu żeśmy nie mogli wrócić, bo nasz dom był na tle innych jeden z lepszych, dlatego wybierali te najlepsze domy do zamieszkania. Natomiast siostra najstarsza, która była mężatką, zamieszkała w tym domu, gdzie mieszkali rodzice szwagra. Ta rodzina, o której mówiłam, że została też rozstrzelana na Hucie. Z tym, że to też był jeszcze okres niespokojny, bo to był jeszcze 1943 rok cały i bywałyśmy wszędzie. U cioci na Zaborecznym, u cioci

na Dąbrowie, u siostry tej na Hucie. I taka tułaczka nasza była do wyzwolenia, a więc gdzieś do lipca, bo te tereny w tym czasie były koniec czerwca, lipiec, były już wyzwolane.

**Michał Kurkiewicz:** Czyli?

**Zofia Wrzosek:** 1944 roku.

**Michał Kurkiewicz:** Czyli przez rok.

**Zofia Wrzosek:** Półtora.

**Michał Kurkiewicz:** Półtora.

**Zofia Wrzosek:** Półtora. Przez półtora roku. Od powiedzmy śmierci rodziców, od 17 lutego 1943 roku do 1944 roku, czerwiec–lipiec. Po wyzwoleniu myśmy się wprowadziły do domu i trudno powiedzieć w tym momencie, kto się nam tak... wyłącznie która siostra opiekowała. One się wszystkie opiekowały. Pomagały też w tym okresie ciotki, dlatego, że mogłyśmy tam okresowo zamieszkać. Natomiast po wyzwoleniu moja siostra średnia i młodsza, i my obie, ja i moja siostra Stasia wróciłyśmy do rodzinnego domu. Dom był pusty. Nic nie było. Ale zaczynałyśmy od nowa, ale była ta namiastka domu rodzinnego, bo byłyśmy u siebie. Miałyśmy konia, tego konia, o którym mówiłam, który wiozł rodziców na cmentarz. Była krowa, która też cudem ocalała, więc było mleko, ale brakowało wszystkiego, brakowało ubrania, ale byłyśmy szczęśliwe, że jesteśmy razem, że siostry opiekowały się jak rodzonymi dziećmi swoimi, a one miały, ta starsza miała po wojnie ze 22–23 lata, to ta średnia, bo starsza była już zamężna, a ta młodsza z 18 lat. I pracowałyśmy ciężko, i ja już pomagałam w pracy, wiele czynności wykonywałam. Natomiast pole uprawiać nam szwagier i często myśmy... siostry chodziły do siostry tej starszej, pomagać im w pole. Oni nam pomagali. Tworzyliśmy taką wspólną rodzinę. I ja byłam na wsi w Dzierżni. Tam kończyłam szkołę podstawową do 1948 roku. W międzyczasie średnia siostra, Zuzia, wyszła za mąż i zamieszkała jej mąż razem z nami. Oczywiście akceptował jak najbardziej nas jako dzieci. Zresztą też był bardzo, bardzo w porządku wobec nas. Już nie żyje, ale nie mogę słowa marnego powiedzieć na tego człowieka. I moja siostra, właśnie ta średnia, prawnie wzięła opiekunstwo nad nami. Tak że ona była tą opiekunką odpowiedzialną za nas. Ja chodziłam do szkoły, skończyłam tam sześć klas szkoły podstawowej i wydaje mi się, że to było tak... oczywiście brakowało nam wielu rzeczy. Mleko było, trochę kur było, parę gęsi. Następnego roku pojawiło się... Boso całe lato chodziłam od maja do września, nieraz krowę pasłam. Rano wstawałam, a na 8:00 biegłam do szkoły. Zimno było, to nogi podkulałam, bo i butów nie było. I o czym to ja chciałam mówić? Wydaje mi się, że to było tak dalej, taki pewien przełom w moim życiu. Mój tata blisko się znał z kierownikiem szkoły. W międzyczasie, między tym 1948 rokiem a powiedzmy wyzwoleniem, nazwijmy, to była łapanka we wsi, taki kwiat młodzięży. NKWD i władze jakieś inne wyłapali mężczyzn. Z dziesięciu może ich było. I kierownika szkoły. I wywieźli do Rosji aż gdzieś tam do tajgi. I byli ze dwa lata. I dzięki temu, że kierownik znał język rosyjski, umiał pisać, wzięli go do kancelarii i razem był z tymi właśnie chłopcami ze wsi. Oni pracowali w tajdze przy wielkich mrozach. Nosili drzewo. Ludzie opowiadali. Szwagier mój, bo później jeden z nich ożenił się z moją młodszą siostrą. Ten, który był na tym zesłaniu, ale wydaje mi się... i dzięki temu, nie wydaje mi się, tylko, że dzięki temu, że kierownik był tam w tym

biurze, to miał wpływ na Polaków i na nich samych. Instruował ich w wielu rzeczach. O wielu rzeczach im mówił. Tak że oni się podporządkowywali w jakiś sposób. I kierownik właśnie już chyba w 1947 czy 1948 roku wrócił i z powrotem wrócił do pracy w Dzierżni. I ja w 1948 roku opuściłam wieś, ale stało się to tak, domyślam się, że wezwał kierownik moją siostrę Zuzię, która się nami opiekowała i powiedział, jaka istnieje możliwość, bo miał wiadomości z inspektoratu oświaty, że sieroty są zbierane i umieszczane w domach dziecka, i w domach młodzieży. Ja już się nadawałam do domu młodzieży. I zostałam skierowana do Zamościa do domu młodzieży, i do liceum pedagogicznego, żebym miała zawód. Tam kończyłam tak zwaną klasę wstępną przygotowującą do liceum, zamiast siódmej klasy, natomiast nie mieszkalam w domu młodzieży. Był on poza Zamościem w dzielnicy Karólówka, to siedem kilometrów od centrum miasta i tam byli przede wszystkim chłopcy. Było bardzo dużo i w takim wieku już dojrziałym często, ale jeszcze uczęszczali do szkoły, bo często byli to już uczniowie przerośnięci, ale tu chodziło o to, żeby kształcić młodzież. I kierownik domu młodzieży w porozumieniu z dyrekcją w liceum umieścił nas, sierot dziewcząt, 13 nas było, w internacie. I było rozliczenie domu młodzieży z internatem. Tak że ja byłam, obcowałam z normalnymi koleżankami, dziećmi. Przykro mi było nieraz, jak któraś z sióstr czy szwagrów na wywiadówkę nie przyjechali, to ja gdzieś w kącie się popłakałam, że rodzice są, a u mnie nie ma nikogo, ale to nie ze złej woli, tylko nieraz obowiązki. Tak że... I skończyłam liceum, i zaczęłam pracować. Bo dom młodzieży był finansowany czy powiedzmy uczeń tylko do ukończenia liceum, do momentu, kiedy zdobędzie zawód. I zaczęłam pracować w domu dziecka, a oprócz kierunku nauczania w szkole, kończyłam jeszcze kierunek opieka nad dzieckiem. Więc można było wybierać dom dziecka lub szkołę. Ale już na tyle w tym wieku zdawałam sobie sprawę, że właściwie nic nie mam poza tą pościelą i osobistą odzieżą z tego domu młodzieży, chociaż opiekę mieliśmy dobrą. Więc pomyślałam, że nie mogę pójść gdzieś na wieś do pracy, bo to przede wszystkim na wieś kierowano. Były ogromne braki wtedy. To był rok 1953. Pójdę do domu dziecka. To był dom dziecka razem z domem młodzieży, bo też już była młodzież ze szkoły średniej. I też w innych miastach była tylko, uczyła się tylko na wakacje. Właśnie ci licealiści przyjeżdżali do domu dziecka. Tak to byli uczniowie od pierwszej do siódmej klasy. Zdecydowałam wybrać się dom dziecka, bo doszłam do wniosku, że mogę i w tym zawodzie, i w tym pracować, a ponieważ nic nie miałam i zagospodarowanie się gdzieś wymagało jakichś pieniędzy. Większy jakiś trud był. I w związku z tym... A tam miałam pokój, miałam wyżywienie, za które płaciłam i tam pracowałam dwa lata. I po dwóch latach już byłam tu w Warszawie i wyszłam za mąż. I od 1955 roku jestem w Warszawie. Ale ja się nie czuję Warszawianką. Ja ciągle mam swój świat tam, gdzie się urodziłam. Niemniej jestem szczęśliwa, że tu jestem, bo moja rodzina ma zupełnie inne warunki życia w tej chwili i ja też. I ja też. Z moim mężem przeżyliśmy 48 lat. Jest dobrym mężem, jest dobrym ojcem, zapewnił nam byt, zapewnił dobry start dzieciom. Tak że za to wszystko Bogu dziękuję. Chciałam pokazać zdjęcie mojego taty z młodości. Pewnie miał tu dwadzieścia parę lat. To jest jedyne zdjęcie, które zachowało się i zrobiłam szereg odbitek, żeby córkom zostawić i wnukom. A to jest portret, który wisi w naszym domu. A to jest tata z okresu wojny. Myślę, że to jest 1942 rok. Jest to zdjęcie z legitymacji. Chyba jakaś niemiecka legitymacja obowiązywała w tym czasie i było przyklejone, później odrywane i stąd jest takie zniszczenie, ale takiego surowego z miny zawsze też pamiętam tatę. Był surowy, ale kochany. A to jest moja mama. Druga żona ojca, o której mówiłam, że była tak wspaniałą matką i człowiekiem o wielkim sercu. A tu jest... właśnie córka sobie postawiła, moja rodzina. To też pewnie 1942 rok. Dlatego, że to jest moja siostra, która jest... myślę, że ma cztery latka. A ona zginęła jak miała pięć. I jest tata, mama, Danusia, która zginęła, moja siostra, ja i Stasia. To pomyliłam się, to jest Stasia, ona była mniejsza.



**Michał Kurkiewicz:** A pani jest która? Która jest pani?

**Zofia Wrzosek:** Tu ja jestem. A to jest Stasia, najmłodsza. Musiała mieć mniej niż cztery lata. Jeszcze może to było 1941 rok, bo nic nie pisało na zdjęciu. Tak że przepraszam za pomyłkę. A to są starsze moje siostry. Modzia, która wyszła za mąż jeszcze, o której mówiłam, przed śmiercią rodziców, to jest kuzyn, cioteczny brat. To jest Zuzia, która miała opiekę nade mną, nad nami. Nade mną i nad młodszą siostrą. A to jest Lzia, która razem mieszkała. Mieszkałyśmy w rodzinnym domu, dopóki nie powychodziły za mąż. Tak że tu na tym zdjęciu, jedynym zdjęciu, które się też uchowało, bardzo zniszczone było. A to jest nie wiem, który rok, ale też pewnie 1941–42. Nie wcześniejszy. To jest mój tata. W tej maciejówce. Mój tata zawsze chodził w maciejówce i w tej maciejówce zginął. A to jest jego bliski kolega, ten softys. I to jest na posesji tego softysa, to zdjęcie. Widocznie tata przyszedł za jakąś sprawą tutaj i tu coś, jakąś pracę wykonują. I tata właśnie tak usiadł. Tak że to też takie zdjęcie jedyne. Co jeszcze chciałam pokazać? A to są moje siostry. Ta jest trzecia. To jest najstarsza, Modesta. To jest Zuzanna. Ta, która się opiekowała nami prawnie, bo się wszystkie opiekowały. I Lzia, która mieszkała razem. We cztery mieszkałyśmy w domu rodzinnym. Natomiast to jest zdjęcie już po wyzwoleniu, bo już kwiaty rosną, to jest grób moich rodziców. I byłam tu z siostrą Zuzią, i z kuzynką. Siostra Zuzia robiła zdjęcie, a kuzynka poprawiała coś w kwiatkach. Też to takie jedno zdjęcie się zachowało.

**Michał Kurkiewicz:** A tam z boku to pani?

**Zofia Wrzosek:** To? To jestem ja.

**Michał Kurkiewicz:** To, tak?

**Zofia Wrzosek:** To jestem ja. Stałam właśnie tak na grobie rodziców, między kwiatami tu stoję. Do kościoła, jak chodziłam, to też w pierwszych latach, pierwszym roku nie miałam butów, to miałam takie bambosze. To całą drogę niosłam w ręku, bo by się już zniszczyły, zanim doszłabym kilometr do kościoła. A pod kościołem buty zakładałam. I co jeszcze mogę powiedzieć? Jest nagrywane teraz czy nie?

**Michał Kurkiewicz:** Tak.

**Zofia Wrzosek:** Że przeżyłam wiele, wyrosłyśmy z siostrą na uczciwych ludzi. Moja młodsza siostra już nie żyje, ale ten okres... to znaczy okres, śmierć rodziców przede wszystkim, te ciężkie czasy, ale głównie śmierć rodziców, tak ogromnie wpłynęła na mnie, myślę, że i na siostrę, stałam się bardzo nerwowa, płaczliwa, tak jak tu pokazałam, zakompleksiona, zawsze się czułam gorsza od innych. Często widziałam jak moje koleżanki do kościoła jadą, do kościoła jadą z rodzicami wozem, przystrojone. Ja też byłam czysto ubrana i zadbana, ale zawsze pieszo leciałam albo z siostrą starszą szłam. Wydaje mi się, właściwie to jestem pewna, że śmierć rodziców i warunki życia przez całą wojnę i po wojnie bardzo wpłynęły na moją osobowość. Nie jestem wesołą, beztroską osobą. Nigdy nie byłam. Właściwie od dzieciństwa, od śmierci rodziców byłam płaczliwa, byłam nerwowa, byle czego, to trzęsłam się. Przy odpowiedziach w szkole nawet trzęsły mi się ręce, musiałam się podpierać, opierać o ławkę. Zakompleksiona, bo widziałam, że moje koleżanki mają rodziców. Że jest zupełnie inaczej u moich koleżanek, ale wyrosłyśmy z siostrą na uczciwych ludzi i życie nam się ułożyło dobrze, i za to Bogu dziękuję. Tak bym zakończyła.